



Maya
Banks

tom 3
trylogii
„Bez tchu”

Pożar
krwi

Rozdział 1

Ash McIntyre stał na betonowym chodniku w Bryant Parku, z rękami w kieszeniach spodni, i oddychał wiosennym powietrzem. Chłodny wiatr niósł ze sobą ostatnie wspomnienie zimy, która powoli, choć nieubłaganie, ustępowała miejsca nadchodzącej wiosnie. Ludzie siedzieli na ławkach i krzesłach, okupowali niewielkie stoliki, popijali kawę, pracowali na laptopach albo słuchali muzyki z iPodów.

Był wyjątkowo piękny dzień; Ash McIntyre rzadko sobie pozwalał na przechadzki albo czerpanie przyjemności z przebywania w parku, zwłaszcza w godzinach pracy. Wtedy siedział zamknięty w swoim biurze, rozmawiał przez telefon, pisał e-maile, albo planował podróże. Nie był typem człowieka, który, urzeczony widokiem róż, zatrzymuje się, by je powąchać. Tego dnia był jednak wyjątkowo niespokojny i podejrzliwy, miał mętlik w głowie i znalazł się tu, choć wcale tego nie planował.

Jego współnika Gabe'a całkowicie pochłaniały przygotowania do zbliżającego się wielkimi krokami ślubu z Mią;

chciał osobiście dopilnować, by był to dzień, o jakim marzy każda panna młoda. A Jace? Drugi przyjaciel i wspólnik Asha był w bardzo stałym związku ze swoją narzeczoną, Bethany. Jednym słowem dwaj przyjaciele Asha byli bardzo zajęci.

Kiedy nie pracowali, spędzali czas ze swoimi kobietami, a to oznaczało, że widywał się z nimi wyłącznie w biurze i przy nielicznych okazjach, gdy wychodzili gdzieś po pracy. Wciąż byli sobie bliscy; Gabe i Jace zapewniali go, że to się nie zmieni i Ash już na zawsze pozostanie częścią ich życia. Tyle że wszystko wyglądało już inaczej. I choć obecny stan rzeczy służył jego przyjaciołom, Ash nadal nie pogodził się z faktem, jak bardzo ich życie zmieniło się w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy.

Dziwne, bo to przecież nie w jego życiu nastąpiły istotne zmiany. Nie chodziło o to, że nie cieszył się szczęściem przyjaciół. Skoro oni byli szczęśliwi, on również czuł się szczęśliwy. Jednak po raz pierwszy, odkąd się znali, miał wrażenie, że przygląda się wszystkiemu oczami obserwatora.

Gabe i Jace przekonywali go, że wcale tak nie jest. Byli jego rodziną, bliższą niż ta prawdziwa — banda popaprańców, których unikał na wszelkie możliwe sposoby. Gabe, Mia, Jace i Bethany, a przede wszystkim Gabe i Jace, zgodnie zaprzeczali, jakoby Ash został wykluczony z ich grona. Byli jego braćmi w każdym tego słowa znaczeniu. Łączyło ich coś więcej niż więzy krwi: bezwarunkowa przyjaźń. Coś jednak się zmieniło. I w pewnym sensie został wykluczony. Z pozoru wszystko wyglądało tak samo, a jednak było inaczej niż zwykle.

Od lat ich motto brzmiało: graj ostro i ciesz się wolnością. Bycie w związku zmienia człowieka. Zmienia jego priorytety. Ash to rozumiał. Myślałby gorzej o swoich przyjaciółach, gdyby nie fakt, że to kobiety stały się dla nich priorytetem. Jednak w tej sytuacji Ash miał wrażenie, że został odsunięty na bok. Czuł się jak piąte koło u wozu. I wcale nie było mu z tym dobrze.

Było mu o tyle ciężko, że do czasu pojawienia się Bethany on i Jace dzielili się większością swoich kobiet. Najczęściej pieprzyli te same kobiety. I choć mogło wydawać się dziwne, że nie wiedział, jak funkcjonować poza trójkątem, tak właśnie było.

Niespokojny i poirytowany, szukał czegoś, choć nie miał pojęcia czego. Nie chodziło o to, że chciał tego, co mieli Gabe i Jace... A może chciał, ale bał się do tego przyznać? Wiedział tylko, że nie jest sobą, i to mu się nie podobało.

Był skoncentrowany. Miał władzę oraz pieniądze, by realizować swoje marzenia. Kobiety z chęcią dawały Ashowi wszystko, czego tylko sobie zażyczył. Tylko po co to wszystko, skoro sam nie wiedział, czego pragnie i potrzebuje?

Rozejrzał się po parku, przyglądając się matkom i nianiom pchającym przed sobą wózki. Wyobraził sobie siebie w takiej sytuacji i wzdrygnął się z obrzydzeniem. Miał trzydzieści osiem lat, prawie trzydzieści dziewięć. W tym wieku większość mężczyzn ustakowuje się i zakłada rodziny. Ash jednak, podobnie jak jego wspólnicy, spędził większość dorosłego życia, harując jak wół na obecny sukces firmy. Dokonał tego bez finansowego wsparcia ze strony rodziny, bez ich koneksji i innej pomocy.

Może dlatego tak bardzo go nienawidzili — bo zagrał im na nosie. Z ich punktu widzenia największym grzechem Asha było to, że sukces zawdzięczał wyłącznie sobie. Miał więcej pieniędzy i władzy niż ten starzec, jego dziadek. A skoro już o tym mowa, to co innego robiła reszta jego rodziny poza tym, że korzystała ze szczodrości seniora rodu? Dziadek sprzedał świetnie prosperującą firmę, gdy Ash był chłopcem. Nikt z jego rodziny nie przepracował w swoim życiu ani jednego dnia.

Pokręcił głową. Cholerne pijawki. Nie potrzebował ich. Nie chciał mieć z nimi nic wspólnego. Teraz, kiedy się dorobił, nie zamierzał wpuszczać ich z powrotem do swojego życia, by zgarniali owoce jego pracy.

Odwrócił się, gotów wrócić do biura, gdzie czekało go całe mnóstwo roboty, niemającej nic wspólnego ze staniem w przeklętym parku i rozmyślaniami nad własnym życiem, jak ktoś, kto potrzebuje pomocy psychologa. Musiał wziąć się w garść i skupić na jedynej rzeczy, która nie uległa zmianie. Na interesach. W HCM Global Resorts trwały prace nad różnymi projektami. Sprawa paryskiego hotelu została już prawie załatwiona; na miejsce inwestorów, którzy się wycofali, znaleziono nowych. Wszystko szło jak należy i Ash wiedział, że nie wolno mu spieprzyć tego na finiszu, zwłaszcza teraz, gdy Gabe i Jace nie pojawiali się w firmie tak często jak kiedyś. On jeden nie był zaabsorbowany własnym życiem prywatnym, tak więc musiał podwoić wysiłki. Wziąć sprawy w swoje ręce, tak by przyjaciele mogli się cieszyć swoim życiem.

W drodze powrotnej zauważył młodą kobietę siedzącą samotnie przy jednym ze stolików, nieopodal ulicy. Za-

trzymał się i jej przyjrzał. Długim, jasnym włosom, zza których widać było oszałamiająco piękną twarz i niezwykle oczy, nawet z tej odległości przykuwające jego uwagę.

Jej długa wymyślna spódnica, łopocząc na wietrze, odsłaniała nogę. Nosiła ozdabiane cekinami japonki, paznokcie u stóp miała pomalowane jaskraworóżowym lakierem, a gdy poruszyła stopą, dostrzegł błysk pierścionka na palcu. Promienie słońca odbite od okalającej kostkę srebrnej bransoletki podkreślały smukłą nogę.

Dziewczyna szkicowała coś zapamiętale, marszcząc czoło. Z leżącej obok niej wypchanej torby wystawały zwinięte w rulon kartony.

Jednak tym, co zwróciło jego szczególną uwagę, była obroża, którą nosiła na szyi — ciasna, niemal wrzynająca się w delikatne zagłębienie na szyi dziewczyny. Ale do niej nie pasowała — od razu to zauważył. Nie oddawała jej charakteru.

Wyglądała jarmarcznie. Brylantowa błyskotka, z całą pewnością droga i raczej na pewno prawdziwa, ale niepasująca do całej reszty. Za bardzo rzucała się w oczy. Mimo to go zaintrygowała. Zaczynał się zastanawiać, czy to rzeczywiście coś w rodzaju obroży, czy przypadkowo wybrane świecidełko. Jeśli faktycznie była to obroża, mężczyzna, który ją kupił, miał wyjątkowo kiepski gust. Nie znał swojej kobiety albo go nie obchodziło, czy ten rodzaj ozdoby do niej pasuje.

Skoro Ash potrzebował zaledwie chwili, by to zauważyć, jak to możliwe, że człowiek, który sypiał z tą dziewczyną, nie zwrócił na to uwagi? Może błyskotka symbolizowała dominację, co — zdaniem Asha — było przejawem arogancji

i głupoty. Obroża powinna wyrażać troskę mężczyzny o uległą mu kobietę, świadczyć o tym, jak bardzo jest mu bliska, jednak przede wszystkim powinna do niej pasować.

Ash snuł domysły. A może to był zwyczajny naszyjnik i kobieta sama go wybrała. Dla niego jednak ta na pozór tylko błyskotka była czymś więcej niż zwykłym dodatkiem.

Nie wiedział, jak długo przyglądał się dziewczynie, ale najwyraźniej wyczuła na sobie jego spojrzenie, bo podniosła wzrok, a na jej twarzy odmalowało się przerażenie. Chwilę później zamknęła szkiecownik i w pośpiechu zaczęła pakować go do torby. Poderwała się z ławki i nie przestając grzebać w przepastnej torbie, szykowała się do odejścia.

Zaintrygowany Ash ruszył w jej stronę. Adrenalina sprawiła, że krew szybciej krążyła mu w żyłach. Był myśliwym. Odkrywca. Podjął wyzwanie i zżerała go ciekawość. Chciał wiedzieć, kim jest ta kobieta i co oznacza ozdoba na jej szyi.

Podchodząc do niej, wiedział, że jeśli ma rację i obroża rzeczywiście oznacza to, co mu się wydaje, to on zapuszcza się na terytorium innego mężczyzny; jednak już po kilku sekundach nie miało to dla niego znaczenia.

Wchodzenie w paradę innemu facetowi i tropienie uległej mu kobiety jest niedopuszczalne, jednak Ash nie dbał o reguły. Przynajmniej nie o te, których sam nie ustanowił. A ta kobieta była piękna. Intrygująca. Może tego właśnie było mu trzeba. Nie dowie się, jeśli z nią nie porozmawia.

Był o krok od niej, gdy się odwróciła i omal na niego nie wpadła. Wiedział, że narusza jej przestrzeń osobistą, i miał szczęście, że nie zaczęła krzyczeć wniebogłosy. Wyglądał przecież jak szykujący się do ataku prześladowca.

Cofnęła się i wstrzymała oddech. Pękata torba przechyliła się i wypadła jej z ręki, a na ziemię wysypały się ołówki, pędzle i papiery.

— Cholera! — mruknęła. Schyliła się, żeby pozbierać kartki, podczas gdy Ash podbiegł do tej, którą podmuch wiatru zwał kilka metrów dalej. — Dam radę! — zawołała. — Proszę nie robić sobie kłopotu.

Ash dogonił kartkę, podniósł i odwrócił się twarzą do dziewczyny.

— Żaden kłopot. Przepraszam, że panią wystraszyłem.

Roześmiała się niepewnie i wyciągnęła rękę po rysunek.

— To akurat się panu udało.

Spojrzał na rysunek, który trzymał w dłoni, i zamrugał zaskoczony, widząc na papierze swoją twarz.

— Co...? — bąknął, gdy spróbowała wyrwać mu kartkę.

— Proszę, niech go pan odda — poprosiła łagodnym głosem, w którym pobrzmiwało zniecierpliwienie.

Wydawała się przestraszona, jakby się bała, że Ash wpadnie w złość, ale jego bardziej interesował skrawek ciała, który dostrzegł pod luźną koszulką, kiedy sięgnęła po swoją własność.

Na prawym boku miała tatuaż, równie kolorowy i intrygujący jak ona. Kwiecisty motyw przypominał winorośl, która pięła się w górę — lub w dół — po jej ciele. A może w obie strony. Żałował, że nie zobaczył więcej, jednak w tej samej chwili dziewczyna opuściła rękę, a miękki materiał przesłonił mu widok.

— Dlaczego mnie rysowałaś? — spytał zaciekawiony.

Policzki dziewczyny oblały się delikatnym rumieńcem. Miała jasną cerę, delikatnie muśniętą słońcem. Włosy i cu-

downe niebieskawozielone oczy sprawiały, że wyglądała pięknie. Była piękna. I najwyraźniej niezwykle utalentowana.

Rysunek był idealny. Ash od razu rozpoznał na nim siebie. Zamyślonego, patrzącego w dół nieobecny wzrokiem. Narysowała go, kiedy stał w parku, z rękami w kieszeniach. Zdołała uchwycić tę przelotną chwilę zadumy. Poczul się dziwnie bezbronny ze świadomością, że ktoś zupełnie obcy utrwalił na papierze jego nastrój. Czul się niezręcznie, wiedząc, że przyłapała go w chwili słabości i dostrzegła to, co chciał ukryć przed całym światem.

— To był impuls — odparła. — Często rysuję ludzi. Różne rzeczy. Cokolwiek, co zwróci moją uwagę.

Uśmiechnął się, ani na chwilę nie odrywając od niej wzroku. Jej oczy były pełne ekspresji, gotowe pochłonąć wszystko, na czym spoczęły. I jeszcze ta przekłeta obroża, która nie dawała mu spokoju, szydziła z niego i sprawiała, że różne rzeczy przychodziły mu do głowy.

— Czyli zwróciłem na siebie twoją uwagę?

Znów się zaczerwieniła. Rumieniec na jej policzkach zdradzał, że czuje się winna, i był bardzo wymowny. Sprawdziła go, tak jak on sprawdzał ją. Może robiła to bardziej subtelnie, ale subtelność nigdy nie należała do jego mocnych stron.

— Miałam wrażenie, że nie pasujesz do tego miejsca — wypaliła. — Masz bardzo wyraźne rysy twarzy. Aż mnie korciło, żeby uchwycić je na papierze. Masz też interesującą twarz... Widać było, że coś zaprzęta twoje myśli. Uważam, że ludzie są dużo bardziej otwarci, kiedy wydaje im się, że nikt nie zwraca na nich uwagi. Gdybyś pozował, powstałby zupełnie inny rysunek.

— Jest świetny — przyznał, po raz kolejny spoglądając na kartkę. — Masz talent.

— Mogę go odzyskać? — spytała. — Jestem spóźniona.

Spojrzał na nią i uniósł pytająco brew.

— Zanim mnie zobaczyłaś, nie sprawiałaś wrażenia, jakby ci się spieszyło.

— To było kilka minut temu, wtedy nie byłam jeszcze spóźniona. Teraz jestem.

— Gdzie się tak spieszysz?

Zmarszczyła czoło i rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

— To raczej nie twoja sprawa...

— Ash — rzucił pospiesznie, gdy zawiesiła głos. — Mam na imię Ash.

Pokiwała głową, ale się nie odezwała. W tym momencie oddałby wszystko, żeby usłyszeć, jak wypowiada jego imię.

Wyciągnął rękę i musnął palcami obroź.

— Czy twoje spóźnienie ma coś wspólnego z tym?

Cofnęła się o krok i znów zmarszczyła czoło.

— Twój pan czeka na ciebie? — zapytał.

Zdumiona otworzyła oczy i instynktownie dotknęła obroży.

— Jak masz na imię? — nie dawał za wygraną. — Zdradziłem ci swoje. Wypadałoby więc zrobić to samo.

— Josie — odparła niemal szeptem. — Josie Carlisle.

— Do kogo należysz, Josie?

Zmrużyła oczy i wrzuciła do torby ostatnie ołówki.

— Nie jestem niczyją własnością.

— To znaczy, że pomyliłem się co do znaczenia tej obroży?

Gdy po raz kolejny dotknęła ozdoby, przeszedł go dreszcz. Chciał ją zdjąć. Nie pasowała do niej. Obroża dla zdomi-

nowanej kobiety powinna być starannie dobrana, tak by odzwierciedlać jej osobowość. Powinna być czymś wyjątkowym, stworzonym dla niej i tylko dla niej.

— Nie, nie pomyliłeś się — odparła schrypniętym głosem, od którego ciarki przeszły mu po plecach. Jej głos wystarczył, by w ciągu kilku sekund uwieść mężczyznę. — Ale nie jestem niczyją własnością, Ash.

I oto usłyszał, jak wypowiada jego imię. Uderzyło go to i napełniło niezrozumiałą satysfakcją. Chciał, by zrobiła to jeszcze raz. Kiedy będzie ją pieścił. Gdy jego usta i dłonie będą błędziły po jej ciele, dobywając z niego jęki rozkoszy.

Uniósł brew.

— Może więc ty nie rozumiesz znaczenia obrożi?

Roześmiała się.

— Rozumiem. Ale nie jestem jego własnością. Nie jestem niczyją własnością. To prezent, który postanowiłam włożyć. Nic więcej.

Nachylił się, jednak tym razem się nie odsunęła. Patrzyła na niego zaciekawionym, pełnym wyczekiwania wzrokiem. Ona również to czuła — magnetyzm, który przyciągał ich do siebie. Musiałyby być ślepa i głupia, by tego nie zauważyć.

— Gdybyś nosiła moją obrożę, wiedziałabyś, że należysz do mnie — powiedział. — Co więcej, nawet przez chwilę nie żałowałabyś, że w pełni mi się oddałaś. Będąc pod moją opieką, byłabyś tylko moja. Nie miałabyś wyjścia. A na pytanie, kto jest twoim panem, odpowiadałabyś bez wahania. Nie mówiłabyś o obroży jak o byle błyskotce, wybranej przypadkowo pod wpływem impulsu. Gdybyś była moja, ta obroża wiele by znaczyła. Byłaby dla ciebie wszystkim, i dobrze byś o tym wiedziała.

Spojrzała na niego, roześmiała się, a jej oczy błysnęły figlarnie.

— W takim razie szkoda, że nie należę do ciebie. — Odwróciła się, zarzuciła torbę na ramię i odeszła szybkim krokiem, zostawiając go osłupiałego, z rysunkiem w dłoni.

Ash patrzył za nią, podziwiając długie, targane wiatrem włosy; widział błysk japonki i zapiętej wokół kostki bransoletki. Chwilę później spojrzał na rysunek.

— Rzeczywiście szkoda — mruknął.

Rozdział 2

Ash siedział za zamkniętymi drzwiami biura, przeglądając raport. Nie były to dokumenty biznesowe, wykresy dotyczące finansów ani e-mail, który wymagał niezwłocznej odpowiedzi. Były to informacje dotyczące niejakiej Josie Carlysle.

Nie tracił czasu i poprosił o pomoc tę samą agencję, która na jego prośbę sprawdziła Bethany, co swego czasu solidnie wkurzyło Jace'a. Byli dobrzy, ale, co ważniejsze, szybcy.

Po spotkaniu w parku nie potrafił przestać myśleć o tej dziewczynie. Zawładnęła jego umysłem do tego stopnia, że zachowywał się jak Jace, kiedy poznał Bethany. W swej nierozwadze i głupocie zadzwonił wówczas do przyjaciela. Co by powiedział Jace, gdyby wiedział, że tym razem Ash zbiera informacje na temat Josie?

Pomyślałby, że do reszty postradał zmysły. To samo myślał Ash, kiedy Jace zupełnie stracił głowę dla Bethany.

Według raportu, Josie miała dwadzieścia osiem lat. Była absolwentką Akademii Sztuk Pięknych i mieszkała w ka-

walerce, w suterenie kamienicy na Upper East Side. Na umowie najmu nie widniało nazwisko żadnego mężczyzny. Prawdę mówiąc, w raporcie było zaledwie kilka wzmianek o mężczyźnie, który przyjeżdżał po nią o różnych porach. Sam Ash złożył zlecenie tuż po spotkaniu z dziewczyną i raport nie był zbyt obszerny i szczegółowy.

Josie lubiła przesiadywać w parku, gdzie rysowała albo malowała. Niektóre z jej prac zostały wystawione w małej galerii na Madison, jednak żadna nie została sprzedana, przynajmniej od czasu, gdy Ash zlecił obserwację. Projektowała też ekstrawagancką biżuterię i miała swoją stronę w jednym z internetowych sklepów, w którym można było składać zamówienia.

Wszystko wskazywało więc na to, że Josie jest wolnym duchem. Nie miała regularnych godzin pracy ani rozkładu zajęć. Wychodziła i wracała, kiedy miała ochotę. Choć obserwacja trwała zaledwie kilka dni, wyglądało na to, że Josie jest samotniczką. Facet, który miał ją na oku, nie widział jej z nikim innym, poza mężczyzną, który, jak przypuszczał Ash, był jej panem.

Coś tu jednak nie grało. Gdyby należała do niego, z pewnością spędzałby z nią więcej czasu i nie dopuściłby do tego, by była tak samotna. Wyglądało na to, że koleś jest na nią napalony, ale któreś z nich nie traktuje tego związku poważnie.

Czyżby to była gra?

Nie miał nic przeciwko ludziom, którzy robili to, co im się żywnie podoba, ale, do jasnej cholery, w dominacji nie ma miejsca na głupie gierki. Dominacja to coś poważnego. Nie grał w gierki. Nie miał na nie czasu ani ochoty. Dener-

wowały go. Jeśli kobieta tego nie rozumiała, dawał sobie z nią spokój, Jeśli chciała pójść z nim do łóżka i udawać uległą, szybko się jej pozbywał.

Zwykle on i Jace dzielili się kobietami. Mieli swoje zasady. Te dotyczące kobiet zostały określone na samym początku. Pojawienie się Bethany wszystko zmieniło; dotychczasowe zasady przestały obowiązywać. Jace nie miał ochoty się nią dzielić, i Ash to zaakceptował. Z początku miał z tym problemy, ale teraz rozumiał przyjaciela. Nie znaczyło to jednak, że nie brakowało mu tej wyjątkowej więzi, która ich łączyła.

Z drugiej strony, teraz, kiedy nie było Jace'a, Ash miał nad wszystkim kontrolę. Nie martwił się, że wejdzie w paradę najlepszemu przyjacielowi, zdenerwuje go albo będzie zmuszony grać według jego zasad.

To mu się podobało. Cholernie. Zawsze wiedział, że ludzie błędnie rozumieją jego osobowość. Patrząc na Gabe'a, Jace'a i Asha, wychodzili z założenia, że to właśnie on jest tym niefrasobliwym. Tym, który ma wszystko gdzieś. Tym wyluzowanym. Może nawet naiwnym.

Byli w błędzie.

Z całej trójki to właśnie on był najbardziej uczuciowy i miał tego świadomość. Kiedy byli z Jace'em z tą samą kobietą, powstrzymywał się, bo wiedział, że jest w stanie posunąć się znacznie dalej niż przyjaciel. Grał więc według zasad Jace'a i przez cały czas starał się kontrolować. Poza tym nigdy dotąd nie spotkał kobiety, przy której do tego stopnia dał się ponieść wyobraźni.

Aż do teraz.

Było to głupie. Nie znał Josie. Fakt, wiedział o niej co

nico. Raport był dość szczegółowy. Ale tak naprawdę jej nie znał. Nie wiedział, jak zareagowałyby na to, co chciał jej dać. Ani na to, co chciałby w zamian.

No właśnie... Co chciałby w zamian? Wiedział tylko, że byłoby tego dużo. Wiele by jej dał, ale jego żądania pewnie wydałyby się jej niezwykle.

Po raz kolejny zajrzał do raportu, zastanawiając się nad kolejnym krokiem. Wynajął już człowieka, żeby ją szpiegował. Świadomość tego, że całymi dniami jest samotna, nie dawała mu spokoju. Był zdania, że kobiety mogą robić wszystko, na co mają ochotę. Ale nie Josie. Czy jej pan miał pojęcie, dokąd ona chodzi za dnia? Czy potrafił zapewnić jej ochronę? Czy może spotykał się z nią tylko wtedy, kiedy miał ochotę kogoś przelecieć?

Ash stłumił niski, gardłowy pomruk. Musiał się uspokoić i wziąć się w garść. Wmawiał sobie, że ta kobieta nic dla niego nie znaczy, ale w głębi duszy wiedział, że to nieprawda. Była mu bliska. Nie wiedział tylko dlaczego.

Z zamyślenia wyrwał go dźwięk telefonu. Spojrzał na wyświetlacz i zmarszczył czoło, widząc, kto dzwoni. Facet, który obserwował Josie.

— Ash — rzucił.

— Panie McIntyre, mówi Johnny. Dzwonię, żeby powiedzieć panu, co właśnie widziałem. Pomyślałem, że chciałby pan wiedzieć, co się dzieje.

Ash wyprostował się w fotelu; bruzdy na jego czole się pogłębiły.

— O co chodzi? Coś jej się stało?

— Nie, proszę pana. Właśnie wyszła z lombardu. Sprzedała trochę biżuterii. Byłem w sklepie i słyszałem, jak

rozmawiała z właścicielem. Powiedziała, że potrzebuje gotówki, żeby opłacić czynsz. Kiedy facet zapytał, czy chce sprzedać biżuterię, czy tylko oddać w zastaw, powiedziała, że chce sprzedać, bo jeśli nic się nie zmieni, nie będzie miała pieniędzy, żeby ją wykupić. Nie mówiła, o co chodzi z tą zmianą, ale pomyślałem, że chciałby pan wiedzieć, co zrobiła.

Ash poczuł, że ogarnia go wściekłość. Dlaczego, do cholery, Josie zastawiała biżuterię w jakiejś przeklętej spelunie? Jeśli potrzebowała gotówki, dlaczego nie zwróciła się o pomoc do swojego pana? Dlaczego tamten facet nie potrafił jej ochronić? Gdyby należała do niego, Asha, nigdy w życiu nie poszłaby do jakiegoś pieprzonego lombardu.

— Kup to — poinstruował Johnny'ego. — Wszystko. Cena nie gra roli. I przywieź do mnie.

— Dobrze, proszę pana — odparł mężczyzna.

Ash się rozłączył i rozsiadł się w fotelu. Jego umysł pracował na najwyższych obrotach. Nagle Ash zerwał się na równe nogi, chwycił telefon i zadzwonił do kierowcy, każąc mu podjechać pod wejście do biura.

W korytarzu omal nie wpadł na Gabe'a.

— Masz chwilę?! — zawołał za nim przyjaciel.

— Nie teraz — wycedził Ash przez zęby. — Muszę coś załatwić. Pogadamy później, dobra?

— Ash?

Zatrzymał się i zniecierpliwionym wzrokiem spojrzał na przyjaciela. Gabe ściągnął brwi; z jego oczu można było wyczytać troskę.

— Wszystko w porządku?

Ash pokiwał głową.